

Marysia

AGNIESZKA HOLLAND

Któregoś dnia Marysia Kornatowska zadzwoniła do mnie i zaproponowała, żebyśmy zrobiły dla wydawnictwa Znak wywiad rzekę. Jedno wiedziałam na pewno: dobrze będzie się z nią rozmawiać. Miała świetny gust filmowy i mnóstwo wiedziała. Poza tym znałam ją słabo.

Byłam wtedy bardzo zajęta, więc umówiliśmy się, że przyjedzie do mnie do Bretanii w trakcie mego tam pobytu i zrobimy te rozmowy perypatetycznie, chodząc po plaży, siedząc w ogrodzie, przy kominku...

Marysia przyjechała z walizką kolorowych powiewnych ciuchów, kosmetyków, wielu par butów na szpilkach, nawet klapki były na szpilce, i książek.

W tych klapkach i w pełnym make-upie chodziła na plażę i po wrzosowiskach. Interesowało i zachwycało ją absolutnie wszystko. Nie miała jednak prawa jazdy, więc trzeba ją było wszędzie wozić, a jej turystyczne ambicje były nienasycone. Nie umiała przygotować sobie też żadnego posiłku, więc to ja sprzątałam i gotowałam. Marysia chodziła za mną krok w krok i nieprzerwanie prowadziła konwersacje. Chciała wiedzieć wszystko i kochała dzielić się opiniami i przemyśleniami o sztuce i świecie. O sobie samej opowiadała najmniej. O innych – tylko dobrze. Kiedy już – umęczona obowiązkami szofera, kucharki, sprzątaczk i damy do towarzystwa – padałam z nóg, Marysia zaczynała czytać (czytała mnóstwo, najróżniejszych rzeczy) i oglądać filmy. Po trzech tygodniach nasz wywiad był gotowy, Marysia z najwyższym żalem opuściła mój dom, a ja mogłam odpocząć.

Książka była inteligentna, subtelna i dyskretna. Jeżeli znalazło się tam coś, czego być nie powinno, to z pewnością nie interlokutorka była winna, ale moje bezmyślne gadulstwo. Ludziom się to podobało i Marysia była bardzo szczęśliwa. Włączyła mnie niejako do panteonu „swoich” filmowców (Fellini, inni Włosi, Has, jej studenci z Filmówki) i wiedziałam, że zawsze mogę liczyć na jej zrozumienie i lojalność. Zawsze też szalenie mnie obchodziło, co myśli o moim kolejnym filmie. Miała tak rzadkie u naszych krytyków połączenie erudycji, życzliwości i ciekawości. Spotykałyśmy się podczas jej pobytów w Warszawie i w Nowym Jorku, który poznała jak nikt i pokochała, i gdzie jej barwna, „felliniowska” forma nikogo nie dziwiła.

Ale najbardziej ją polubiłam, kiedy zobaczyłam ją w Łodzi, na tle Szkoły Filmowej, ze studentami. To oni byli jej dziećmi, rodziną i nadzieją. Umiała – co nie znaczy wcale, że była bezkrytyczna – dostrzec ich najlepsze cechy, zapalić ich do kina JAKO PRAWDZIWEJ SZTUKI, pobudzić intelektualnie i poznawczo. Była w tym wyjątkowa i nie do zastąpienia. Naprawdę nie widzę nikogo, kto mógłby ją zastąpić. Będzie jej strasznie brak. I pełna jestem podziwu, że odeszła jak żyła: nie poddając się degradacji choroby, do końca w szpilkach, kolorowych kieckach i majajżu...

AGNIESZKA HOLLAND